

# Chojnacki, Jan

---

## O tym mieście muszę koniecznie też : wyróżnienie w konkursie "Płock i region płocki we wspomnieniach"

---

Notatki Płockie 52/4-213, 37-49

---

2007

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

JAN CHOJNACKI

### O TYM MIEŚCIE MUSZĘ KONIECZNIE TEŻ

Kiedy miasto nad Sierpienicą nazywało się Sichelberg i z dnia na dzień znalazło się w prowincji Südostpreussen, rodzinną willę przy Tułdzieckiego zajął niemiecki komendant policji. Wówczas, wiosną 1940 roku, czteroosobową rodzinę wysiedlono do oficyny przy Nowym Rynku pozwalając zabrać tylko pościel, ubranie i żywność. Nowe mieszkanie było stosunkowo obszerne a ponadto posiadało pewną okupacyjną zaletę, bo znajdowało się w parterowym budynku, którego jedno z okien wychodziło na ogród uprawiany przez kuzynkę, Helenę Chrapkowską.

Niestety, już jesienią tegoż roku kazano wynieść się znowu. Tym razem do nędznej izby na poddaszu, w drewnianym i najprawdopodobniej pożydowskim budynku przy ul. Szpitalnej nr 8 (wówczas Alte Strasse). Teraz jednak potraktowano ich wręcz okrutnie, bo nie pozwolono zabrać jakichkolwiek rzeczy poza tymi, które mieli na sobie. W tej sytuacji, następnego dnia, pomimo oplombowanych drzwi i grożącego niebezpieczeństwa, średni brat Jurek został od strony ogrodu wsadzony do wnętrza przez wyważony *lufcik* i z narażeniem życia chłopcy wynieśli stamtąd większość przedmiotów niezbędnych do ubrania się, spania i gotowania. Oprócz Janka i Jurka, w tej niebezpiecznej akcji brał również udział najmłodszy Zbyszek, który stał przy bramie na straży.

Matka, Elżbieta Chojnacka, opiekowała się synami, natomiast Ojciec - choć uciekł z Sierpca i ukrywał się pod obcym nazwiskiem w Białyszewie, Słupi koło Bielska a potem w Generalnej Guberni - nie uniknął Pawiaka, Oświęcimia oraz innych obozów zagłady. W tej sytuacji główny ciężar utrzymania rodziny przypadł 16-letniemu Jankowi, jako najstarszemu z synów.

Pierwsze dziesięć miesięcy 1940 roku, przepracował za marne grosze w sklepie *ELEKTRO-RADIO*, jako ekspedient. Wtedy zjawił się nieoczekiwanie na poddaszu przy Szpitalnej, mieszkający dotychczas w Warszawie daleki kuzyn Elżbiety, Mietek Ambroziewicz. Był zaledwie o kilka lat starszy od jej najstarszego syna. Zapewne znała go w młodości, bo wywodziła się z rodziny Ambroziewiczów. Mietek zaproponował, aby Janek przyjął pracę robotnika w młynie wodnym w Mieszczku nad Skrwą, oddalonym od miasta mniej więcej o dwa kilometry. On sam był już wtedy buchalterem u dzierżawcy tamtejszego młyna, Henryka Bomerta. Można by rzec buchalterem rodzinnym, ponieważ Bomert

ożenił się przed wojną z jego ciotką, atrakcyjną blondynką, Zofią.

Okazało się potem, że Mietek był zaangażowany w działalność konspiracyjną AK i zależało mu na kimś zaufanym, ponieważ - pod ochronnym parasolem spolszczonego Niemca, Henryka Bomerta - zaczął uprawiać proceder nagminnego fałszowania wpisów w kartach przemiałowych, aby chłopcy mogli przerabiać żyto na mąkę w dużo większej ilości, niż na to zezwalał okupant. Ponadto prowadził nielegalny przemiał pszenicy dla Polaków, co w ogóle było zakazane. Było więc zrozumiałe, że i Janek został z miejsca dopuszczony do przyjmowania ziarna i wydawania mąki oraz do procederu fałszowania kart. Nauczył się też chytrze pakować do dużych worków z mąką żytnią, mniejsze woreczki z pszeną.

Po pewnym czasie do młyna zjeżdżali chłopcy nie tylko z powiatu sierpeckiego, ale także rypińskiego, lipnowskiego i płockiego, bo tak szeroko znana była wśród rolników możliwość nielegalnego przemiału zboża w Mieszczku. W razie wpadki, mogło to nawet grozić postradaniem głowy, jednakże Janek z Mietkiem byli wtedy młodzi i odważni. Solidarność chłopów oraz ich spryt do kamuflowania tego typu praktyk były ogromne, natomiast działania żandarmów stosunkowo powierzchowne, gdyż byli świadomie obłaskawiani przez Bomerta pozakartkową mąką - a była to wówczas wielka wartość nawet dla Niemców! Po niedługim czasie od rozpoczęcia pracy w Mieszczku, nowy pracownik już tylko w dni wolne przebywał u matki na Szpitalnej, natomiast w dni powszednie kwaterował u Bomertów, we wspólnym pokoju z Mietkiem oraz jego przyjacielem z warszawskiej handlowki, Jurkiem Lubą<sup>1</sup>. Było to o tyle uzasadnione, że praca w młynie zaczynała się już od szóstej i trudno byłoby codziennie docierać z Sierpca o tak wczesnej godzinie. A ponadto możliwe było w ten sposób choćby częściowe rozluźnienie ciasnoty na poddaszu przy Alte Strasse 8.

<>

Nowy mieszkaniec nie wiedział wtedy, że dom Bomertów stanie się wkrótce ostoją AK, której głównym reprezentantem będzie Mieczysław Ambroziewicz<sup>2</sup>. Istnieje nawet przypuszczenie, że ziarno działalności konspiracyjnej Mietek z Jurkiem przy-

wieźli tu z Warszawy. Dotyczy to prawdopodobnie również siostry Mietka, Waławy Amroziewiczówny (później Zacharskiej), która według przekazów historycznych - po powrocie do stolicy - odegrała sporą rolę w konspiracji i Powstaniu Warszawskim. Janek był m.in. świadkiem jak w pokoju, w którym kwaterował, obaj wymienieni kreślili schematy broni strzeleckiej z wzorców dostarczonych przez Zbigniewa Zielińskiego *Wąsika*, szefa kontrwywiadu w sztabie Obwodu Sierpeckiego AK. Bardzo częstym gościem w tym pokoju był też członek AK Kazimierz Lisiecki. Henryk Bomert chronił także przez wiele miesięcy dowódcę plutonu AK<sup>3</sup> z Łęga Probostwa, Antoniego Chrapkowskiego *Stacha* zatrudniając go fikcyjnie jako agronoma wtedy, gdy *Stachowi* paliła się ziemia pod nogami w rodzinnej wsi. Niewątpliwie ważnym sprzętem dla konspiratorów było w tym domu stojące w dużym pokoju radio, które umożliwiała słuchanie audycji BBC. Stało przy oknie wychodzącym na drogę, co było korzystne dla ostrzegania przed niepożądanymi gośćmi. Janek sam też wielokrotnie słuchał Londynu, kiedy nikogo akurat nie było w domu. Pan Henryk zresztą też słuchał od czasu do czasu zakazanych audycji a potem dzielił się z chłopcami niektórymi sensacyjnymi zdarzeniami.

W tym domu mówiło się wyłącznie po polsku a pani Zofia co niedzielę ostentacyjnie jeździła razem z dziećmi do katolickiego kościoła w Sierpcu. Pan Henryk zaś - potężne chłopisko - wcześniej podoficer służby czynnej w 36 pułku piechoty *Legii Akademickiej*, kiedy tylko lekko zaszumiło mu w głowie, natychmiast i z dumą, zaczynał śpiewać pieśń swego pułku. A słowa pułkowego hymnu biegły następująco:

*Gdy wieczorem marzę sam, to w mej wyobraźni  
stają widma dawnych lat, szczęścia i przyjaźni...  
Gwar wesołych, młodych dusz w sercu mym się cieśni,  
zda się, słyszę cudny głos ulubionej pieśni:*

*Gaudeamus igitur, iuvenes dum sumus.  
Gaudeamus igitur, iuvenes dum sumus.  
Post iucundam iuventutem, post molestam senectutem  
nos habebit humus. Nos habebit humus.  
Vivat Akademia ! Vivant Professores!"... itd.*

Ba, widocznie w wojsku nie żartowano z nauką pułkowej pieśni, bo podoficer słowa miał wykute na *blachę*. A że okazja do wychylenia kieliszka samogonu zdarzała się przy młynie nie tak znowu rzadko, to wkrótce melodia i słowa znane były wszystkim domownikom. Kiedy tylko rozpoczynał śpiewać, natychmiast włączał się do kompanii cały chór, łącznie z młynarzem Stanisławem Alabrudzińskim, Jurkiem Lubą, Mietkiem Ambroziewiczem i pewnie z sympatyczną siostrą Mietka: Wacią. Oczywiście, Janek nie był ostatni w tym chórze i z cza-

sem śpiewał tę akademicką pieśń niczym student i z nie mniejszym zapałem niż gospodarz.

<>

W okolicy wspomnianego młyna w Mieszcuku było cudownie. Woda Skrwy rozlewała się szeroko spiętrzona groblą i stawidłami, zaś sosnowy lasek ozdabiał wysoki, przeciwny brzeg. Bohater opowieści czy chciał, czy nie, musiał już od rana podziwiać to piękno kontrolując stawidła oraz dębowe łopatki wielkiego koła napędowego. Nad samą wodą, z obu stron rzeki i wzdłuż grobli, bogato zieleniły się bowiem niezliczone olszyny zapewniając znakomite siedlisko wiosennym słowikom i innym śpiewającym ptakom. A przecież i sam - posadowiony na palach wbitych w wodę, drewniany, piętrowy - młyn stanowił w tym mazowieckim krajobrazie nie lada perełkę zanikającej architektury. Urok miejscowej przestrzeni wzbogacał ponadto widoczny na niebie, choć ostro kontrastujący z naturą, łuk stalowej kratownicy kolejowego mostu. Ów wysoko wypiętrzony most znajdował się nie dalej niż w odległości dwustu metrów od pocziwego młyna. Wrażenie dopełniały stada kaczek i gęsi pływających po wodzie oraz chłopskie wozy i konie różnej maści, obecne przy młynie od samego świtu. Całemu bogactwu natury towarzyszył ponadto - miły uchu - nieustanny szum wody poruszającej turbinę.

Nic dziwnego, że często można było spotkać nad tą piękną wodą wspaniałego człowieka, nauczyciela gimnazjalnego a zarazem artystę malarza, Stefana Tamowskiego. Mistrz, po wysiedleniu z własnego domu w pobliżu dworca kolejowego, nie tylko tu zamieszkał wraz ze swą piękną żoną Jadwigą i nie tylko malował ulubione bratki. Także, z wielką pasją oraz skutecznie, łowił szczupaki.

Ależ naturalnie! I tu w Mieszcuku, w głębi okupacji, Janek nie przestał śnić o harcerstwie i o wojsku. Co prawda, niczego wielkiego nie zdziałał, ale za to głupiego - na pewno! Mianowicie, jedynie przez nieodpowiedzialny sentymentalizm mógł się narazić nawet na Oświęcim. Otóż, w tajemnicy przed otoczeniem wydobyl z najszybszego schowka spłowiwały mundur harcerski z naszytymi na rękawie sprawnościami i wdział na siebie. Następnie, przy użyciu samowyzwalacza zrobił w ogrodzie fotografię. Podobnie sfotografował się w żołnierskiej czapce polowej. Głupstwo było podwójne, ponieważ film dał do wywołania w warsztacie Stasia Rutkowskiego i w przypadku jakiejś rewizji w tym zakładzie, konsekwencje mogły być okropne. Jedyna korzyść z jego ówczesnej, harcersko - wojskowej dziecinady jest taka, że dziś te (dość marne technicznie) zdjęcia posiada w swoich zbiorach i mógł mi je pokazać.

Być może pominąłbym w ogóle epizody jego życia w Mieszcuku, gdyby nie przypadkowy fakt, że

właśnie tam nauczył się trochę grać na akordeonie, bez czego nie stałby się pewnie w przyszłości autorem i kompozytorem kilkudziesięciu piosenek, publikowanych w kilku śpiewnikach i śpiewanych przede wszystkim w harcerstwie i przede wszystkim na Mazowszu.

A stało się tak: Niemcy, pomimo wojny i potrzeb z nią związanych, nie zaprzestali produkcji niektórych przedmiotów czasu pokojowego, np. instrumentów muzycznych. Z kolei, ich handlowa tradycja i wrodzony porządek powodowały, że również nie zaprzestali rozprowadzania tego typu przedmiotów poprzez katalogi wysyłkowe. Mietek Ambroziewicz mieszkając w centrum Pragi, bo na Żabkowskiej, od dziecka przyglądał się podwórkowym orkiestrom i marzył o posiadaniu akordeonu i to koniecznie w kolorze perłowym. Widział kiedyś taki lśniący instrument i tylko podobny mógłby zaspokoić jego dawne tęsknoty. Tak więc, kiedy tylko wpadł mu w ręce katalog, w którym reklamowała się znakomita firma HOHNER, wybrał - spośród wielu proponowanych tam typów - taki, który chciałby mieć i którego cena wydawała mu się do przyjęcia. Bez wiary w pożądaný skutek, wyciął z prospektu odpowiedni formularz i zawinszował sobie sześćdziesięciobasowy akordeon oraz maleńką ustną harmonijkę typu *piccolo*.

Długo nie było odzewu i kiedy Mietek już zdążył zapomnieć o sprawie i uważał ją za negatywnie zakończoną, otrzymał nagle przekaz. Listonosz anonsował przesyłkę *za pobraniem*. Po przejściu paczki na pocztę i przywiezieniu do wspólnego pokoju w Mieszczku, przy jej rozpakowywaniu byli obecni młynarze oraz niezwykle zaciekawieni mieszkańcy domu. Była to przecież sensacja! W opakowaniu rzeczywiście znajdował się nowiutki, zgrabny i powleczone białą masą perłową, instrument (Janek ma go do dziś na zdjęciu!), jak również maleńkie organki. Przesyłka dokładnie odpowiadała korespondencyjnemu zamówieniu.

Teraz jednak zaczęły się schody, bo jak tu nauczyć się wykorzystywać ten piękny przedmiot marzeń? Zaczęto rozpytywać chłopów przyjeżdżających do młyna. Okazało się wkrótce, że we wsi Bledzewo mieszka bardzo uzdolniony, ale prawie niewidomy muzykant. Nazywa się Churski a będąc po kursie organistowskim trudni się m.in. udzielaniem lekcji gry na akordeonie. Kiedy ów muzykant - noszący charakterystyczne, silnie powiększające okulary - przyjechał (O dziwo, rowerem!) do Bomerów, uzgodniono, że - ze względu na dojazdy rzędu 10 kilometrów - korzystniej będzie dla niego mieć w Mieszczku więcej niż jednego ucznia. Padło więc na Janka i razem z Mietkiem zaczęli na zmianę ćwiczyć na tym samym instrumencie. Obaj nauczyli się gam, akordów, podstawowych basów a potem wycwiczyli bodaj tylko trzy utwory: trudną i szybką *Polkę Szabasówkę*, poloneza *Pożegnanie Ojczy-*

zny i jakiegoś skoczego oberka. Na tym się ich lekcje skończyły i rozpoczęła się samodzielna gra, głównie ze słuchu.

Mietek górował znajomością nut i zegarmistrzowską dokładnością ich artykułowania, natomiast drugiemu muzyka służyła głównie do swobodnego akompaniowania przy żywiołowym śpiewaniu. Janek posiadał niezły głos, bardzo lubił śpiewać i znał jeszcze z rodzinnej wsi sporo pieśni ludowych, biesiadnych itp. Tam bowiem, choć był jeszcze dzieckiem, nigdy nie opuszczał odbywających się (za ścianą rodzinnego domu) zebrań koła Związku Młodzieży Wiejskiej *Siew*. Śpiew na tych zebraniach był obecny aż w nadmiarze, ponieważ koło przewodziła dwójka absolwentów Uniwersytetu Ludowego w Szycach: Honorata Jakubowska i Bartłomiej Bigorajski. A uniwersytety te aż kipiły od prze-kazywania *studentom* zasobów kultury, przede wszystkim ludowej.

Mietek - niestety - po ogólnej wpadce AK w rejonie Sierpca - został aresztowany i znalazł się w Oświęcimiu. Kiedy go w Mieszczku zabrakło, najstarszy z braci Chojnackich, samodzielnie i aż do nadejścia frontu, kontynuował zapoczątkowaną przez niego nielegalną działalność przemiałową.

<>

Życie Janka w czasie okupacji dzieliło się zatem między młyn nad Skrwą i niedzielny dom matczyny w mieście. A w Sierpcu jego ukochaną, a ponadto pierwszą dziewczyną, była Magda. W niej się zakochał już przed wojną i to od pierwszego wejścia, kiedy oboje zaczęli chodzić do gimnazjum. Potrafił wówczas godzinami spacerować przy jej ogrodzie, aby ją przynajmniej zobaczyć. Potrafił też spowodować sensację w mieście przesyłając Magdusi pozdrowienia poprzez centralną rozgłośnię Polskiego Radia wtedy, gdy radio było jeszcze słabo zaawansowane. Największym atutem dziewczyny były urzekające, czarne oczy - miał więc o czym śpiewać i rzeczywiście śpiewał. Cóż, kiedy ona kochała się w starszym od niego Zdziśku, co oznaczało dla Janka ogromnie bolesny zawód. Nie poddawał się jednak a przez lata wojny sytuacja uległa diametralnej zmianie i stali się zakochaną parą. Wydawało się nawet nieodłączną w krajobrazie niewielkiego miasta.

Ba, pewnego razu - w czasie okupacji - nasz bohater porządnie oberwał chcąc *rycersko* bronić dziewczyny przed żandarmami. A było to tak: Imieniny kolegi, Franka Orzażewskiego, na których spotkało się kilkanaście osób, przeciągnęły się nieco poza godzinę policyjną. Wychodzono parami, aby w razie spotkania z żandarmami nie narazić od razu wszystkich. Wyszedł więc z Magdą i kiedy z daleka usłyszał *Halt!*, zatrzymał się posłusznie, aby wziąć na siebie wszystko. Pozwoliło to uko-

chanej na skok do bramy i przedostanie się podwórkami z powrotem do mieszkania państwa Orzażewskich.

Jego natomiast żandarmi zabrali na posterunek przy ulicy Narutowicza i zaczęli spisywać protokół. Wyglądało to na rutynową czynność policyjną do czasu, gdy okazało się, że właściwie interesuje ich tylko jedno: kim była towarzysząca mu osoba? On zaś właśnie tylko tego nie chciał ujawnić. Prawdę mówiąc - była to z jego strony jedynie zbędna bohaterzczyzna, bo przecież nie chodziło o żadną konspirację i Magdzie nic wielkiego nie mogło grozić. Kiedy, na powtarzające się pytania z dziecinną naiwnością odpowiadał, że nie zna nazwiska swej towarzyszkii, ocieźłali żandarmi zabrali się powoli i systematycznie do dzieła. Kazali mu się położyć na krześle i odmierzali szpicrutą baty do czasu, aż się poddał. Miał wówczas tak posiniaczone pośladki, że przez cały tydzień - pomimo matczyńskich kompresów - nie mógł usiąść. Na szczęście, na tym się wszystko skończyło.

Innym razem, również podczas okupacji, kiedy uzdolniony manualnie i pełen wyobraźni braciszek bohatera mego opowiadania, Jurek, skonstruował szopkę satyryczną, pełną kukiełek przedstawiających postacie z najbliższego otoczenia, Janka i Magdę również umieścił na scenie. Wówczas Janek, jako autor piosenek do owej szopki, ułożył żartobliwą zwrotkę i był śmiertelnie przekonany o wiecznej aktualności zawartej w niej sentencji (O, niepoprawna naiwności młodych ludzi!!!):

*Leci samolot nad Sierpcem, ogonem wywija,  
miłość Jasia i Magdusi nigdy nie przemija!*

<>

Tymczasem w Mieszcuku, w miarę upływu okupacyjnego czasu, sierpeccy Niemcy najpierw urządzili w lesie na wysokim brzegu, park niedzielny wypoczynku. W środku postawili drewniany pawilonik bufetowy, w którym sprzedawali piwo, lody i ciastka. Przy drodze, na skraju tego lasu wywiesili natomiast szyderczą tablicę, z błędami w języku polskim, zabraniającą wypasu trzody (w domyśle świń) oraz wstępu Polakom. Rekreacyjnie korzystali jednak z tego lasu niedługo, bo ich armia coraz bardziej się cofała na góry upatrzone pozycje i do Mieszcuka już latem 1944 roku dochodziły odgłosy huku dział.

Po upadku Mussoliniego, w owym lesie wykopano kilkanaście dużych, okrągłych ziemianek i osadzono w nich około stu internowanych żołnierzy włoskich. Codziennie rano - w mundurach, ale w drewniakach na nogach - jeńców tych prowadzono po bruku grobli obok młyna, a potem przez wieś, do kopania okopów. Drewniaki u kilkudziesięciu ludzi maszerujących po kamieniach powodowały tak gło-

śne echo, że za każdym razem przywoływały gapiów oraz dobroczyńców podających kanapki. Dozór Niemców nad byłymi sojusznikami nie był zbyt ostry i zdarzało się, że niektórzy z nich wymykali się strażnikom i nawiązywali we wsi kontakty towarzyskie.

Wszakże, do zjawisk szczególnych należało po-błażanie przez strażników niemieckich pewnemu zdolnemu tenorowi operowemu, którego śpiew niekiedy dobiegał przez wodę aż do młyna. Pewnego razu, ten umundurowany śpiewak w jenieckich drewniakach na nogach, oddzielił się od swej kompanii, wskoczył do młyna i wszedł aż na drugie piętro. Tu, poczęstowany samogonem przez jednego z młynarzy, Stanisława Alabrudzińskiego, bezkarnie i na cały głos, odśpiewał najpierw *O sole mio* a potem jeszcze jakąś arię operową. Śpiewał przepięknie wywołując ogromny podziw wiejskiego otoczenia i całej załogi młyna. Kilkakrotnie widziałem go też w gościnie u państwa Tamowskich, do których udawało mu się wpadać czasem nawet na pół godziny. Szczególnie gorącymi uczuciami darzyły śpiewaka kobiety, ponieważ był również bardzo przystojnym mężczyzną.

Innym nowym zjawiskiem pod koniec wojny było zajęcie w domu Bomertów pokoju na kwaterę dla około 10 żołnierzy, których tu skierowano do dozoru mostu kolejowego. Ich widoczne z daleka sylwetki na wysokim moście oraz maszerujące co godzinę zmiany, tworzyły wrażenie stałego dozoru przez Niemców nie tylko mostu, ale także wszystkiego, co znajdowało się w zasięgu wzroku posterunków. Chociaż nosili typowe niemieckie mundury, to - jak się wkrótce okazało - byli to wyłącznie Ukraińcy, których wcześniej Niemcy wzięli do niewoli. Dowodził nimi podoficer niemiecki, ale pochodzący gdzieś znad Wołgi, w związku z czym mógł się z podwładnymi porozumiewać po rosyjsku.

Kiedy tylko podoficer się oddalał, Ukraińcy chętnie wdawali się w rozmowę i to szczególnie z Jankiem, ponieważ już wtedy grał i śpiewał - a było to bliskie ich duszy. Od nich nauczył się paru rosyjskich melodii a wśród nich i tej, śpiewanej później przez Aznavour'a, *Oj raz, jeszcze raz, jeszcze mnoho, mnoho raz*. Jedno dziwiło u tych *zdrajców ZSRR*. Podejrzewał, że przekroczywszy barierę związaną z przejściem na stronę wroga, będą skłonni aż przesadnie krytykować Związek Radziecki i Stalina, a tymczasem zapalczywie zachwalali kolchozy i komunizm jako zjawiska wielce postępowe i korzystne dla człowieka. A może był to już wpływ kukuruźników zawieszających coraz częściej na nocnym niebie świetliste flary? A może był to psychologiczny efekt ogromnej, powietrznej, amerykańskiej armady? Leciła ona nad Mieszcukiem w biały dzień na wysokości ok. 10.000 metrów, aby pomóc walczącej Warszawie. O, jakże rosło wówczas serce Polakom i nadzieja na szybkie wyzwolenie.

Ostatnim akordem przed nadejściem Rosjan było przybycie na dziedziniec młyna niewielkiego, niemieckiego oddziału frontowego w podniszczonych, maskujących ubiorach. Zadaniem tego oddziału było najprawdopodobniej opóźnianie natarcia nieprzyjaciela, wysadzanie mostów itp. Natychmiast po przybyciu, aby zdobyć pożywienie, wrzucili do rzeki granaty i wkrótce na wodzie pełno było martwych ryb i rybek. Wyglądało na to, że są to zahartowani frontowcy, ponieważ bez lęku reagovali na nalot radzieckich samolotów szturmowych atakujących położone w pobliżu okopy. Żartowali też wtedy przesadnie głośno i nie przerywali zajęć myjąc w rzece, tuż obok młyna, zdobytą ciężarówkę ZIS «5. Na pytanie dlaczego nie pucują tak starannie drugiego samochodu, pochodzącego z niemieckiej fabryki, odpowiedzieli, że ruska prosta maszyna z drewnianą kabiną nie zawiodła ich nawet w najtrudniejszych sytuacjach drogowych i dlatego muszą o nią dbać, szczególnie w obliczu konieczności odwrotu w jesiennych lub zimowych warunkach.

\* \* \*

*Tu pozwolę sobie na dygresję: W Mieszczku bohater mego opowiadania nie był później przez ponad 30 lat i znalazł się tam ponownie dopiero w roku 1976 a to z tego powodu, że wybierając się już na emeryturę szukał świadków okupacyjnego zatrudnienia. Kiedy zjawił się na dziedzińcu przed młynem, było wczesne popołudnie i późnowiosenne słońce mocno oświetlało cały fronton tej drewnianej budowli. Młyn był już wówczas nieczynny a na progu jego otwartych drzwi siedziała w słońcu przepiękna, rudowłosa, długonoga kobieta i coś notowała w zeszytce spoczywającym na kolanie. Ten romantyczny, słoneczny obrazek natychmiast nałożył się na okupacyjne przeżycia. Przypuszczam, że każdy z czytelników spotykał kiedyś, szczególnie w wiejskich domach, takie zjawisko, że za ramę jakiegoś dużego oleodruku zatknięto mały obrazek, otrzymany od księdza chodzącego po kołędzie.*

*Konfrontacja dwóch - odległych w czasie i charakterze przeżyć - była tak mocna, że dawny Janek, a teraz już Jan, napisał wówczas jeden ze swych bodaj najpoważniejszych wierszy:*

**Strzegą** wysokiego, kolejowego mostu,  
grobli, spiętrzonej wody Skrwy;  
ryb srebrnotuskich i krasnopiórych,  
meandrów, wodorostów  
oraz drewniaków, w których niewolni znowu szli  
Rzymianie o twarzach ponurych.

**Strzegą** butwiejących ziemianek w leśnym parku,  
tablicy: „Paszenie krów,  
jak również wstęp Polakom wzbroniony”,  
odgłosów frontu na karku,  
kiedy już prawie wschodzi nów  
i świt.....jakże czerwony!

**Strzegą** siwiutkiego, od mąki, młyna,  
derki kryjącej chłopski wóz,  
fałszywych kart przemiałowych,  
melodii, którą niesie drewnozębna turbina,  
mąki z mazowieckich zbóż  
i euforycznych podnieć samogonowych.

**Strzegą** głośniejszą arii zbląkanego Włocha  
i wykapanego właśnie ZIS-a piat'  
- cennego i dla nich w ostatnich dniach -  
strzegą Gabrysi, co się w Włochu kocha  
oraz tych, których stać  
w królestwo ryb granatami: trach, trach!

**Strzegą** wysokiego szumu alianckich skrzydeł,  
przedziwnej ciszy kukuruźnych flar,  
grzmotu dział; tun kroczących,  
swoich upiornych Über-mamidęł,  
coraz pełniejszych własnych mar  
i gwiazd nieuchronnie spadających

**Nie dostrzegą** słońca na odrzwia młyna,  
na piękną w nich twarz,  
na włosy, ręce, notatki na kolanie,  
na lato, które się zaczyna,  
na ziele, które masz  
u bosych stóp, na oczekiwanie, zakochanie...

**Nie dostrzegą** słońca na pasieczny spokój,  
na lepki, olszowy liść,  
na rzekę i skraj tamtego lasu  
w siedemdziesiątym szóstym roku  
- na cudowny obrazek chwilą zatknięty dziś  
za wielką ramę czasu.

\* \* \*

Kiedy front zbliżał się nad Skrwę i żołnierze Wehrmachtu wynieśli się z mostu i z młyna, Janek zapakował swe rzeczy do worka i przygodną furmanką przeniósł się kilometr dalej, do Sułocinka. Tam, wraz z kilkunastoma nieznanymi uciekinierami i gospo-darzami domu przespał noc na podłodze nisko położonego domu w pradolinie rzeczki. W sąsiedniej zagrodzie, ale położonej na górcie kręciło się tymczasem paru żołnierzy niemieckiej ariergardy i od czasu do czasu oddawali strzały w kierunku Sierpca z działka przeciwpancernego lub ciężkiego karabinu maszynowego. Skoro świt strzały ucichły a w drzwiach pomieszczenia pełnego ludzi bezszelestnie zjawił się radziecki żołnierz. Kiedy upewniono go, że przebywają tu wyłącznie Polacy, odszedł i nikogo więcej z czerwonoarmistów w Sułocinku już nie widziano.

Zimą 1945 roku Janek miał w sobie jeszcze szalenie dużo chłopięcości, bo po przejściu frontu wcale nie dotarł najpierw do matczynego domu, lecz w miejsce rozwidlenia dróg w rejonie cmentarza, aby zobaczyć niezliczone radzieckie czołgi, które parły na zachód. Ich sylwetki dostrzegł bowiem z daleka, kiedy brnął spocony przez kompletnie zawiane śniegiem pola, ponieważ wspomniane rozwidlenie położone było znacznie wyżej.

Brnąc po śniegu w kierunku cmentarza musiał wyglądać cudacznie, niczym kołédnik-przebieraniec, albo syn dziedzica wyrzuconego z majątku, i w sam raz nadawał się do obrabowania przez jakiegoś przybysza ze wschodu. Szedł mianowicie w uratowanej, zbyt obszernej i zbyt długiej ojcowskiej pelisie z kołnierzem z wydry a podbitej znakomitym futrem z tchórzy. Do tego na nogach miał za duże, nowiutkie długie buty ze świńskiej skóry w naturalnym kolorze, które odkupił od jednego z młynarzy. Ten odstąpił mu owe buty, bo niósł kilka podobnych par z bezpieczeństwa pociągu towarowego, pozosta-wionego przez Niemców w szczerym polu w pobliżu mostu nas Skrwą. Do tego wszystkiego na głowie miał jasno-szarą czapkę, uszytą na podobieństwo polowych czapek Wehrmachtu. Pod koniec okupacji, panowała bowiem w Sierpcu moda na takie czapki, ponieważ z oddali stanowiły pewien kamuflaż wobec umundurowanych Niemców. Bo przecież Polacy musieli schodzić na jezdnię i kłaniać się tym *nadludziom*. On też kiedyś został uderzony w twarz przez Bahnschütza<sup>4</sup> przed którym nie zdjął czapki.

Idąc w tak niefortunnym stroju przez pola, w pewnym miejscu musiał przeskakiwać kilka rzędów tranzei wykopanych wcześniej przez internowanych Włochów. Nie zostały one jednak wykorzystane przez cofających się w popłochu żołnierzy niemieckich. W innym zaś miejscu napotkał kawał pola pozbawionego śniegu, bo w tym miejscu śnieg stopiły pociski katuszy. Natomiast dalej piętrzyły się na jego drodze stosy artyleryjskich łusek i ślady czołgowych gąsienic. Wszystko wskazywało na to, że czołg stał tu dłużej w jednym miejscu strzelając właśnie w kierunku Mieszczka i Sułocinka.

Wreszcie, w tym ojcowskim - zbyt obszernym i przepasanym paskiem - futrze, żółtych butach i czapce jak z Wehrmachtu, Janek przekroczył drewniany most na Sierpionicy i natknął się w rowie na martwego podoficera Wehrmachtu leżącego z *panzerfaustem* w rękę, z którego pewnie nawet nie zdążył wystrzelić. Po dotarciu w rejon cmentarza nasz bohater dołączył do sporej grupy gapiów i z zachwytem patrzył na niezliczone pancerne kolumny zwiastujące wolność i pracę w kierunku frontu. Po chwili spostrzegł, że na każdym czołgu siedzi kilku żołnierzy w białych, maskujących ubraniach i kapturach osłaniających głowy. Jako bodaj jedyny z gapiów był tak szczęśliwie podniecony, że zaczął machać ręką w kierunku bohaterskich żołnierzy-wyzwolicieli, ale żaden z nich jakoś tego gestu nie odwzajemniał.

Nagle poczuł, że ktoś chwycił go z tyłu za kołnierz i krzyżąc *Wy Germaniec, ili czto?* ciągnie w bramę cmentarza. Był to uzbrojony w pepeszę i ubrany w krótki kożuszek czerwonooarmisty. Na szczęście, znalazł się wśród gapiów jakiś starszy sierpczanin, znający rosyjski i wyklarował *sołdatowi*, że zatrzymany przez niego młodzieniec, to Po-

lak i że chciał jedynie pozdrowić jego towarzyszy broni. Tak groteskowo wyglądało entuzjastyczne spotkanie niedawnego pracownika młyna nad Skrwą z wielką armią ze wschodu. Do głowy mu bowiem wówczas nie przyszło, że zwycięskie czołgi pędzące na zachód, a nie na tyły, mogą nieść na grzbiecie nie własnych żołnierzy, lecz jeńców.

Udając się spod cmentarza do śródmieścia zobaczył spalony budynek więzienia a w nim rzecz potworną. Mianowicie piwnice tego więzienia ocalały - wbrew zamiarom oprawców dążących do zatuszowania śladów. A właśnie w tych piwnicach (niegdysiejszego i obecnego klasztoru) Niemcy dokonali mordu na 80 Polakach. Janek szedł wzdłuż tych piwnicznych cel i w każdej z nich leżały w ubraniach ciała zastrzelonych więźniów. Były one parami powiązane za ręce zwykłym drutem a następnie ułożone w stosy. Chociaż już same stosy trupów były zjawiskiem makabrycznym, nigdy przedtem ani potem przez niego nieoglądanym, to jednak, kiedy wszedł do jednej z ostatnich cel, zdarzyło się coś jeszcze bardziej nieprawdopodobnego, wręcz surrealistycznego. Na samym wierzchołku jednego ze stosów leżało - można rzec bezwstydnie - nagie, spuchnięte ciało kobiety, które - jak niektórzy twierdzili - należało do niemieckiej strażniczki więziennej, wrzuconej na stos przez oszalałych z bólu mścicieli. Dla młodego i niedoświadczonego jeszcze wówczas mężczyzny już sama nagość kobiety wystarczyłaby do szokującego przeżycia, a cóż dopiero w kontrastującym zestawieniu z prawie setką ubranych, nieżywych mężczyzn.

Na szczęście mama Elżbieta, wraz z Jurkiem i Zbyszkim, przeżyła wojenną kanonadę w jakiejś pobliskiej piwnicy i we czwórkę wrócili natychmiast do własnego domu przy obecnej ulicy Braci Tułdzieckich. Wtedy jeszcze nie wiedzieli, czy Ojciec przeżył w obozie koncentracyjnym na wyspie Uznam, bo jego obóz znajdował się na poligonie raketowym w Penemünde, a - jak wynikało z nasłuchów - poligon ten był przecież wściekle bombardowany przez Anglików i Amerykanów.

Na początku maja, kiedy wojna się skończyła ludzie w Sierpcu, podobnie jak w całym kraju, szaleli ze szczęścia. Wieczorem tego dnia w starym parku obok gimnazjum nastąpiło masowe odpalenie kolorowych rac świetlnych. Dzięki uprzejmości dawnego szewca, a teraz już ważnego milicjanta, który w myśl zasad sprawiedliwości społecznej zajął piętro domu Chojnackich, Janek mógł także wziąć udział w radosnym odpalaniu owych rakiet. Uczył się już wówczas intensywnie w czwartej klasie gimnazjalnej i prowadził odtworzoną przez siebie Mazowiecką Drużynę Harcerzy z *numerem 98*.

\* \* \*

Mietek Ambroziewicz po wyzwoleniu obozu szczęśliwie wrócił do Warszawy, natomiast Bomert,

pomimo przyjęcia Volkslisty, został sądownie zrehabilitowany a - o ile wiem - jednym z jego ważnych świadków obrony był Antoni Chrapkowski *Stach*. Na pewno Henrykowi Bomertowi i jego żonie Zofii a także, spokrewnionemu z nimi Mieczysławowi Ambroziewiczowi, cała rodzina Chojnackich ogromnie wiele zawdzięcza. Również choćby i to, że Bomert wyrwał nieoczekiwanie Janka - jako swego niezbędnego pracownika - z wykopu rowu przeciw-czołgowego. Niemcy bowiem, tuż przed zbliżaniem się frontu, zmusili Janka - wraz z innymi mieszkańcami Sierpca - do kopania takiego rowu w zamarzniętej ziemi po zachodniej stronie miasta (w rejonie *Czałpina*).

\* \* \*

Zażartowałbym, że w życiu Janka *solidarność* zaczęła się znacznie wcześniej niż w Gdańsku, bo już w 1945 roku w czwartej klasie gimnazjalnej. Do klasy tej chodziła młodzież bardzo zróżnicowana wiekowo. Mieli od 15 do 20 lat, ponieważ niektórzy uczyli się w czasie okupacji w domu lub na kompletach, a inni byli już omal dorośli, ponieważ mieli wojenną przerwę w nauce. Znajdowali się wśród nich i tacy, którzy już przed wojną przerwali zajęcia szkolne ze względów materialnych, przeprowadzki rodziców itp. Pomimo tej różnicy wieku, klasę cechowała *solidarność* a najlepszym tego dowodem może być choćby niezwykle świadectwo, które na zakończenie roku szkolnego, własnym sumptem, zamówili w prawdziwej drukarni. Dokument ten nosił tytuł: *MAŁA MATURA, CZYLI ŚWIADECTWO ZDANIA EGZAMINU SOLIDARNOŚCI KOLEŻEŃSKIEJ*. W jego dolnej partii widniały natomiast odręczne podpisy wszystkich kolegów z klasy. W rzeczywistości *solidarność* klasowa przejawiała się głównie w tym, że najmłodszy wyczyniali najdłuższe kawały, natomiast starsi stanowili tarczę ochronną - przepaszali dyrektorkę, usprawiedliwiali łobuziaków lub kryli ich niecne postęпки. Dotyczyło to nie tylko wyrafinowanych psot, ale także wagarowania, nieodrabiania zadań domowych, ściągania itp.

Do zdarzeń szczególnie zapamiętanych przyczynili się głównie bracia Malewiczowie: Jurek i Krzysztof. Byli to synowie znamienitego i dobrze sytuowanego przed wojną sierpeckiego lekarza. Pewnego razu, kiedy lekcję zaczynał wspomniany wcześniej profesor Stefan Tamowski - człowiek wielkiej dobroci, zamyślony i przeważnie zajęty własnymi sprawami twórczymi - Krzysiu Malewicz (bodaj najmłodszy w klasie) podniósł rękę i padło sakramentalne: *Panie psorze, mogę wyjść?* Profesor, który miał nieco nadwerężony słuch, coś odburknął, zrobił gest, jakby się odpędzał od much i ponownie zatopił wzrok w szkicach, które wcześniej zdążył rozłożyć na katedrze.

Nagle, kiedy za chłopakiem zamykały się drzwi, rozległ się nieco przytłumiony głos elektrycznego

dzwonka. Dźwięk dochodził jakby z sufitu, ale przecież klasa mieściła się na piętrze i nad nią nie było już żadnej innej, która np. mogłaby przeprowadzać jakieś ćwiczenia z urządzeniami elektrycznymi. Pomimo upływu czasu, dźwięk ani na chwilę nie ustawał i jawił się jako coraz bardziej natrętny. W klasie zrobił się szum, który wyrwał z zamyślenia profesora. Zaczęły się głośne dywagacje na temat źródła pochodzenia uciążliwego hałasu. Uzgodniono wreszcie z pedagogiem, że najprawdopodobniej dzwonek znajduje się wewnątrz mlecznej kuli oświetleniowej, zwisającej pod sufitem. Sala była jednakże niesamowicie wysoka (Kiedyś tak budowano pomieszczenia szkolne, aby uczniom nie brakowało powietrza.) i bez drabiny nie sposób było dotrzeć do podejrzanej kuli. Zamiast jednakże udać się do woźnego po drabinę, chłopcy postawili na ławce szkolnej krzesło a na nim następne i któryś z nich, niczym cyrkowiec, dotarł wreszcie do lampy.

Po zdjęciu klosza, mniej więcej na pół metra opadł w dół dzwonek zawieszony na towarzyszących mu przewodach, natomiast chłopak - niby to niechcący i przestraszony - zeskoczył z krzesła na ławkę. W ten sposób jeszcze przez dłuższy czas elektryczne *bebechy* zwisały przy suficie a dzwonek, pozbawiony teraz osłaniającej go kuli, dzwonił tak donośnie, że w sąsiednich klasach młodzież nawet wybiegła na przerwę.

Wreszcie, sprawca całego zdarzenia, Jurek Malewicz, który od dziecka przejawiał pewne uzdolnienia do majstrowania przy instalacjach elektrycznych, nacisnął wyłącznik świetlny przy drzwiach i zaległa cisza. Potem zaś nasz *niewinny* bohater - przy pomocy usługowych kolegów - wszedł na *piramidę* z krzesel i szczęśliwie zlikwidował całą instalację. Ponowne założenie mlecznej kuli też wymagało czasu. W każdym razie, zanim zakończyła się operacja przywracania lampy do normalnego stanu, na korytarzu zabrzmiał właściwy dzwonek szkolny zwiastujący kolejną przerwę. W ten sposób przepadła w czwartej klasie cała godzina lekcyjna i znowu było za co przeproszać nauczyciela oraz dyrektorkę, panią Zofię Gałęską. Jestem pełen podziwu dla sprawców zamieszania za wyrafinowany pomysł, a jeszcze bardziej za potajemne przeprowadzenie podsufitowej instalacji tak, że klasa o niczym wcześniej nie wiedziała.

Pomysł z dzwoniem wydaje się jednak dziecinną igraszką przy innym wyczynie niesfornych kolegów ze słynnej *czwartej klasy*. Któregoś dnia, przed ulubioną tzw. dużą przerwą, Jurek i Krzysztof zabrali po kryjomu z pokoiku woźnego, poczciwego pana Kazimierza, wianek kluczy od sal lekcyjnych. Następnie pozamykali wszystkie sale od zewnątrz, wraz z uczniami i nauczycielami. Kiedy pan Kazimierz zadzwonił na przerwę, okazało się, że klasy można opuścić jedynie przez okna, a było to niełatwe nawet na parterze, ponieważ od para



petów do otaczającej budynek murawy odległość była dość duża i chłopcom nadarzyła się rzadka okazja do zaglądania pod granatowe spódniczki piskliwych i przerażonych panienek.

Jeszcze gorzej natomiast było z klasami na piętrze, w tym i z czwartą. Musiały być one ewakuowane przy pomocy jedynej w szkole drabiny. Trwało to więc bardzo długo i było wręcz niebezpieczne dla szeregu, niewprawnych w korzystaniu z drabiny, osób a w tym szczególnie dla dziewcząt. Na dole zgromadziło się pełno żartujących gapiów oraz paru, zatroskanych o bezpieczeństwo uczniów, nauczycieli. Po iluzorycznej dużej przerwie zajęcia nie zostały już tego dnia wznowione, bo klucze podarte zostały woźnemu dopiero następnego dnia, a kompletu zapasowych szkoła nie posiadała, jako że działo to się zaledwie w dwa miesiące po wyniszczającej II wojnie światowej.

W *czwartej klasie* zajęcia z przedmiotów ścisłych prowadził magister Słomiński. Był to człowiek stosunkowo młody, niezwykle uzdolniony, konkretny i bardzo wymagający. Prowadził zajęcia z matematyki i fizyki, a są to - jak wiadomo od dawien dawna - niełatwe przedmioty dla humanistów. Młodzież podziwiała jego wiedzę i akademicki sposób prowadzenia wykładów, ale na lekcjach siedziała cichutko *jak mysz pod miotłą* i drżała w obawie przed każdym wywołaniem do odpowiedzi lub do tablicy.

Tu nie mogło być mowy o jakichkolwiek żartach lub kawałach ze strony klasy. Wszyscy to rozumieli i przez dłuższy czas zachowywali się bez zarzutu. Pewnego razu jednak - i to przez nieuwagę, bo prawdopodobnie pasztet był przygotowany dla innego profesora - w trakcie odpytywania uczniów spod czyjejś ławki uwolniła się granatowa kawka. Chwilę poszybowała i usiadła na wysokim, kaflowym piecu. Uczniowie struchleli i czekali na reakcję profesora. Spodziewali się, że najpewniej nic nie powie i wyjdzie z klasy ze skargą do dyrektorki.

Tymczasem pan Słomiński zachowywał się tak, jakby ptaka w ogóle nie zauważył. Jakby ciemny dowód złego zachowania nie siedział spokojnie na krawędzi pieca i nie spoglądał z góry na przestraszone, klasowe towarzystwo. Profesor przechadzał się wzdłuż rzędów uczniowskich ławek i patrzył na twarze, zastanawiając się kogo - jako następnego - wyrwać do odpowiedzi. A pytał kolejnych uczniów o jakieś rozumowanie matematyczne. Żaden z dotąd zapytanych, niestety, nie mógł się pochwalić pojowaniem rzeczy. Słomiński pytał więc cierpliwie dalej:

*Czajkowski rozumie? nie? - proszę siadać!*

*Sułkowski rozumie? nie? - proszę siadać!*

*Wyczałkowska rozumie? nie? - proszę siadać!*

*Malewicz rozumie? nie? - proszę siadać!*

W tym momencie nieoczekiwanie profesor podniósł głowę, spojrzał na zwieńczenie pieca i jak najpoważniej zapytał:

*A kawka rozumie?...*

Teraz dopiero przyjacielsko się uśmiechnął. Klasa skwitowała to radością i oklaskami, natomiast zdarzenie - za które nawet nie trzeba było nikogo przeproszać - zaskarbiło nauczycielowi wielką sympatię. Przetwała ona aż do końca nauki.

<>

Rozpoczynając naukę w słynnej wówczas w Sierpcu *Czwartej Klasie* Janek odtworzył macierzystą drużynę harcerzy. Do osobliwych zdarzeń przy jej powoływaniu zaliczyłbym fakt, że do jej prowadzenia otrzymał oficjalne (wówczas niezbędne) upoważnienie od Przewodniczącego Powiatowego Zarządu Związku Walki Młodych, który zarazem zgodził się, aby przybocznym został Zdzisław Wroński. Pikanteria tego zdarzenia polegała na tym, że drużynowym został syn głównego działacza sanacyjnego w powiecie, natomiast przybocznym syn komendanta granatowej policji w Sierpcu. Obaj zatem pochodzili ze środowisk najostrzej zwalczanych przez tzw. władzę ludową.

Nowemu drużynowemu nie brakowało doświadczenia skautowego, entuzjazmu i zdolności przywódczych, co powodowało, że wkrótce miał w ewidencji 80 druhów. Mamy szybko uszyły nie tylko mundury ale i sztandar, natomiast jeden z ojców, blacharz, wykonał mosiężną lilijkę dla zwieńczenia drzewca.

Janek poprowadził drużynę ściśle według znanych mu zasad i - również, jak dawniej - gnieździła się ona kątem w przedwojennej piwnicznej harcówce wraz ze stolarskimi i ślusarskimi warsztatami profesora Tamowskiego. Cechą charakterystyczną obecnej działalności były przede wszystkim przedsięwzięcia kulturalne, takie jak ogniska na scenie Domu Kultury lub w plenerze, ale traktowane omal jak spektakle typu teatralnego. Było to możliwe dzięki temu, że - oprócz Janka - funkcjonowało dwóch akordeonistów: Franek Orzażewski i genialny muzycznie Jurek Jagodziński oraz aż trzech gitarzystów, ze Zdzichem Jabłońskim na czele. A przydały się i skrzypce Witka Rutkowskiego, który ponadto zainicjował w drużynie i znakomicie poprowadził chórek rewelersów.

Tak byli spragnieni obozowania, że w czasie bardzo wczesnych ferii wielkanocnych, które wypadły na przełomie marca i kwietnia 1945 roku, drużynowy i przyboczny zorganizowali krótki obóz nad jeziorem Orszulewskim. Na szczęście nie trzeba było wówczas żadnych zezwoleń „Sanepidów”, nadleśnictw, strażaków lub władz oświatowych. Udało się zdobyć dwa namioty z demobilu, jakieś kociołki,

sprzęty kucharskie oraz niezbędne do obozowania narzędzia. Znalazło się około 30 ochotników a każdy z nich - oprócz siennika i osobistego wyposażenia - musiał zabrać chleb, kaszę, cukier, mąkę, słoninę i inne produkty określone przez drużynowego.

Na furmankę chłopcy załadowali sprzęt kwaterunkowy, kotły i plecaki, a sami pomaszerowali dzieląc kilometrów piechotą. Po rozbiciu namiotów udali się do najbliższej wsi po słomę. Odbiwał się wówczas swoisty „pochód mrówek”, bo z bagażem większym niż one same. Tak wracali polną ścieżką, jeden za drugim, harcerze z wypchanymi po brzegi siennikami. Nie budowali pryzc na tak krótki okres, natomiast od ziemi oddzielał ich jedynie materac z suchych gałązek. Spali pokotem w przepelnionych namiotach a zimno przytulało chłopaków do siebie, bo ani ubranie, ani dwa koce absolutnie nie wystarczały. Humor jednakże dopisywał i rozgrzewali się podczas forsownych zajęć, biegów harcerskich oraz - w razie konieczności - przy stałe palącym się ognisku - wotrze. W miarę upływu czasu odpowiedzialność komendanta za bezpieczeństwo i zdrowie uczestników obozu rosła.

Na domiar złego, pod koniec spadł nagle śnieg i chociaż wkrótce zaświeciło słońce, to jednak trzeba było związać przemoczone namioty. Zabrakło już pieniędzy na furmankę i oprócz plecaków, także ciężki niedosuszony brezent i drewniany stelaż, trzeba było nieść do Sierpca na plecach. Początkowe kilometry jakoś się przeszło, ale dalsze? Janek zarządzał coraz częstsze zmiany i coraz dłuższe postoje, natomiast droga do miasta jakby się wciąż wydłużała.

Od czego jednak zaradny i muzycznie uzdolniony drużynowy? Kiedy chłopcy odpoczywali na przydrożnej skarpie, błyskawicznie ułożył pierwszą w życiu, niewielką i wesołą piosenkę. Aż trudno uwierzyć, ile taka rzecz znaczyła w ręku harcerskiego instruktora! Prosta, niezwykle łatwa do zapamiętania, piosneczka natychmiast chwyciła, podniosła chłopców na duchu i pozwoliła - już bez odpoczynku - dotrzeć do Sierpca. Myślę jednak, że najważniejsze było umieszczenie konkretnego numeru drużyny w tekście piosenki, ponieważ czyniło to rzecz niepowtarzalną, wyłączną dla tych harcerzy.

Komendant obozu miał ze sobą maleńki akordeon, który ułatwiał i nagłaśniał śpiewanie, kiedy maszerowali staromiejskimi uliczkami i kiedy otwierały się okna zaciekawionych mieszkańców. Trzeba pamiętać, że samochodów prawie wówczas nie było i przemarsz kolumny środkiem jezdni nie wymagał ani zezwoleń, ani wstrzymywania ruchu. Druhowie maszerowali dumni z posiadania własnej piosenki oraz ze zwycięskiego pokonania trudów wiosennego biwakowania i nader uciążliwego marszu. Piosenka stawała się w szkole i w mieście coraz bardziej popularna, a wkrótce zawędrowała też do Płocka, gdzie przystosowano ją dla drużyny

działającej w słynnej, wiekowej „Małachowiance”. Nikt nie wiedział wówczas, że prościutka śpiewanka stanie się prapoczątkiem znacznie poważniejszej twórczości autorsko - kompozytorskiej<sup>5</sup>. A oto fragment słów owej premierowej piosenki, w której jest i o rowie i o numerze 98:

*Rogatywka z lilijką na głowie,  
Czuwaj! - to hasło jest w nas,  
Na drodze jesteście, czy w rowie,  
wesolo śpiewamy, hej wraz!*

*Refren:*

*Głowa do góry, dziarska mina  
harcerską piosnkę w sercach nosim.  
Hej! Mazowiecka my drużyna  
z numerem dziewięćdziesiąt osiem!*

\* \* \*

Po wyjeździe z Sierpca nasz bohater zdobył maturę w płockiej *Małachowiance* a następnie przez kilka lat studiował w Gdańsku. Pod koniec studiów spędzał wakacje u rodziców w Sierpcu. Jak niegdyś z Jurkiem i Januszem Kazimierczakami – również podczas tych studenckich ferii uprawiał wędkowanie w zakolach czystej jeszcze wówczas i miejscami dziewiczo pięknej Sierpienicy, kąpał się na *Glinkach* i odbywał spotkania z harcerzami swej dawnej drużyny.

Przed wszystkim zaś spotykał się z Magdą. Jak się jednak okazało po kilku latach, poza ogólną sympatią dla pierwszej dziewczyny, wszystkie erotyczne fluidy przeniosły się u niego do Sopotu, a u niej do Krakowa i to tak dalece, że pozostawały im jedynie sympatyczne spacerunki i przyjacielskie rozmowy.

Muszę zaznaczyć, że podczas wakacyjnego pobytu w rodzinnym mieście w roku 1950 był jeszcze na tyle młody i zbuntowany, że nie podlegał sentymentalnym wzruszeniom na sam widok znajomych uliczek, budowli, czy wreszcie spotykanych twarzy. Nic też go wtedy nie przyciągało nawet przyćmiewające rozwidlenie dróg, chociaż to miejsce niewątpliwie mocno wryło się w jego pamięć wobec incydentu z witaniami *wyzwolicielei*. Teraz bowiem jego dawne przeżycia zblakły i zdawały się nie być ważne wobec bieżących planów naukowych oraz ambicji, związanych z uczestnictwem w rozruchnym, akademickim środowisku Wybrzeża. Widocznie był jeszcze wówczas za młody na atawistyczną miłość do rodzinnego miasta.

\* \* \*

Jego dalsza droga wiodła służbę wojskową w Poznaniu, Bydgoszczy, Radomiu, Debrznie, znowu Poznaniu, Wrocławiu i wreszcie zakończyła się w Warszawie. Kiedy znalazł się w stolicy, spotkał tu sporo dawnych koleżanek i kolegów z sierpec-

kiego gimnazjum. Pod koniec lat 60. stanowili oni zaczął dla powstania *Koła Przyjaciół Ziemi Sierpeckiej*, które odegrało pewną rolę w jego dokonaniach twórczych i dlatego chcę na koniec parę słów poświęcić wydarzeniu, jakie miało miejsce aż po 35 latach od wystrzeliwania rakiet zwycięstwa w sierpeckim parku.

Oto Jan i Longina Chojnaccy szczęśliwie wysiadają ze swego samochodu na Podwalu, tuż obok pomnika Kilińskiego, choć już wówczas zaparkowanie w tej okolicy miało w sobie coś z loterii. Wiem dokładnie kiedy to się działo, a skąd wiem? Z podpisu w małej książeczce: *Wiersz ten został specjalnie napisany na wieczór autorski, zorganizowany 28. III. 1980 przez Koło Przyjaciół Ziemi Sierpeckiej w Warszawie*<sup>6</sup>. Nie powiem, aby Jan się nie denerwował, gdy szli wążutką Piekarską i szerokim Zapieckiem ku rynkowi. Przyciskając pod pachą maszynopis około stu wierszy zmierzał wprost ku triumfowi, albo klęsce! Myślę, że Longina też ulegała emocjom, bo właśnie wtedy w siedzibie *Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego* w Rynku Starego Miasta miało się odbyć dziewicze spotkanie autorskie męża.

Czort wie, dlaczego warszawska Starówka, choć odbudowana prawie z niczego - ma w sobie dla współczesnych jakąś magiczną, niewysłowioną czarowność. Wprost emanuje z niej zaklęte i nawarstwione przez wieki piękno. Wystarczy wejść na rynek, aby za każdym razem od nowa zatopić się w bajecznym świecie i z zadziwieniem patrzeć na jedność w różnorodności, na barwność przestrzeni ograniczonej stronami *Dekerta, Zakrzewskiego, Barssa, i Kołłątaja*. Tak było i teraz, gdy się tam zjawiliśmy, i gdy uroku dodawały jeszcze latarnie i podświetlenia elewacji. Siedziba PTTK mieściła się na stronie Kołłątaja pod numerem 23, w tzw. *Kamienicy Urbanowskiej*. Było to dość eksponowane miejsce w środku południowej pierzei rynku, a zewnętrznym znakiem rozpoznawczym był na chodniku stelaż z kartami pocztowymi. Te reklamowały sklepik z pamiątkami i galerią plakatu, a właśnie przez ten sklepik trzeba było koniecznie przejść, aby minawszy następnie niewielki hall zejść po schodkach do znajdującej się na poziomie suterenu sali spotkań członków i działaczy *Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego*. Inne schodki z sali prowadziły pod górę do szatni, maleńkiej toalety i niewielkiego pokoju administracyjnego.

Chcąc zdobywać środki na utrzymanie, PTTK oddało w agencję nie tylko ów korzystnie zlokalizowany sklepik, ale także umożliwiło agentowi wykorzystanie ścian swej głównej sali na galerię obrazów. Tak więc wzdłuż wszystkich ścian owej sali, powyżej drewnianej boazerii, wisały często olejne płótna lub akwarele, przeważnie sporych rozmiarów. Niestety, nie była to galeria dzieł wyłącznie

wysublimowanych artystycznie i raczej rzadko spotykało się rzeczy frapujące. Oprócz obrazów w sali były też oczywiście stoły oraz ławy a także pianino, na którym czasem grywał dawny kolega z Sierpca, architekt Janusz Kazimierczak.

Wydawałoby się, że tego rodzaju pomieszczenie powinno spełniać wszelkie warunki sprzyjające wieczorowi poetyckiemu, bo i piwnica i pełno obrazów, a jednak z powodu słupów, które niesymetrycznie przedzielały salę – istniały pewne kłopoty z widocznością prelegenta z każdego miejsca oraz spore kłopoty z akustyką. Właśnie do takiej *świetlicy* na Starym Mieście nasz bohater został zaproszony przez prezesa koła, mgr. Jerzego Witkowskiego.

Jerzy, w czerwcu 1967 roku, należał do założycieli *Koła Przyjaciół Ziemi Sierpeckiej*, które pod względem formalnym stało się warszawskim kołem PTTK, o numerze 557. Był starszym kolegą z sierpeckiego gimnazjum i mającym teraz takie pasje, jak: przewodnictwo turystyczne, zbieranie i publikowanie materiałów dotyczących historii macierzystego miasta oraz zespalanie społeczne warszawskich sierpczan. Warto zaznaczyć, że ważną rolę w powstaniu i działalności koła odgrywali dawni uczniowie i matu-rzyści sierpeckiej szkoły średniej. To głównie absolwenci tej szkoły - 15 września 1966 roku w warszawskiej kawiarni *Telimeny* - zainicjowali *Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Sierpeckiej* powołując zarząd w składzie: Jan Baranowski - prezes; Halina Chmielewska - wiceprezes i Sabina Kolczyńska - sekretarz.

Tym razem, marcowego wieczoru 1980 roku, w siedzibie PTTK słuchaczy było wyjątkowo dużo, bo przecież nie chodziło o rutynowe zebranie koła, lecz o zapowiedziane w indywidualnych zaproszeniach spotkanie autorskie i to jakże środowiskowo sensacyjne?! Oto raptem dawny gimnazjalny kolega ni mniej, ni więcej, tylko zdobywa się na odwagę indywidualnego wystąpienia w roli poety, aby pokazać, że można:

*Wystrzelić nagle w niebo rakieta,  
taką zupełnie niespodziewaną,  
stać się gorącym, stać się podniętą  
i stać się strofą zapamiętaną...*

Po powitaniu zebranych, prezes naszkicował z grubsza życiorys autora i w serdecznych słowach zapowiedział premierowy w tym środowisku występ poetycki. Był przy tym na tyle uważny i szarmancki, że nie omieszkał przedstawić siedzącej obok Jana małżonki. Autor natomiast nie czynił żadnego dodatkowego zagajenia i od razu mocno zabrzmiała taka oto deklaracja:

*Mnie słowa osobno nie interesują!  
Są mi natomiast jak młoty, kiedy konie kuja,  
albo są raczej może  
jak cepy, kiedy młóca zboże?...*

*Używam ich jak lemiesza, łopaty,  
jak ostrokołu, miecza – jak zapłaty...  
używam ich jak ziemi w sadzie, lub kosy,  
kiedy trzeba żąć żyto mimo rannej rosy...*

*Moje słowa nie parole i nie wazelina  
- to rzecz, co się kończy, albo już zaczyna?...  
Moje słowa wibrują jak muzyka: taka  
raz podobna do burzy, raz do lotu ptaka...*

*Moje słowa, to potok rwący kamiennym korytem,  
co rzeźbiąc zdolny zakłać w kształt niepospolity  
wszystko! choćby było tak tkliwe, jak miłość, jak lzy,  
albo twarde jak granit! - jak człowiek! - jak Ty!*

Solowe popisy Jana na Starówce trwały wtedy około dwóch godzin! Prezentacji dziesiątków wierszy towarzyszyły oczywiście oklaski, gratulacje, kwiaty, podziękowania, ale - jak sam dziś uważam - można było przede wszystkim zazdrościć autorowi, a nie słuchaczom! Tych bowiem ów autor omal nie zamordował nadmiarem szczodrości w dzieleniu się twórczością. Jeżeli coś go uratowało, to chyba jedynie niezła dykcja oraz komunikatywność tekstów, bo zawsze pisze tak, aby nie trzeba było deliberować i domniemywać: *co też autor chciał przez to powiedzieć!* Pewnie także emocja wypowiedzi i tematyka, w wielu punktach dotycząca Sierpca oraz sąsiedniego Płocka, pozwalają do końca utrzymać salę w dostatecznym napięciu. Czytał wiersze na najróżniejsze tematy, ale prawie zawsze zawierające lirykę i zaskakujące puentą. Były więc wiersze i o Warszawie oraz takie, które nie wiązały się z żadną konkretną miejscowością.

<>

Szlachetna działalność tego rodzaju kół środowiskowych miewa swoje zrywy a zależą one przede wszystkim od kondycji, zapału i uzdolnień paru entuzjastów, od jednego lub kilku *koni pociągowych*. W środowisku warszawskich sierpczan - oprócz niezastąpionego Jurka Witkowskiego (absolwenta SGH) - do takich *koni*, ciągnących wóz do przodu, zaliczyłbym z pamięci przynajmniej: Janka Baranowskiego, Wacka i Janka Sułkowskich, Jurka Czajkowskiego, Zosię Bocianowską, Stasia Wajcherta, Krysie Rusin i Wiesia Grodzickiego, ale pewnie byli i inni.

W kole odbywały się świetne sylwestry, jakieś wyszukane *Święta Kobiet*, spotkania z ciekawymi gawędziarzami, reprezentantami innych kół regionalnych, historykami i władzami Sierpca - te ostatnie prezentowały zawsze najnowsze zamierzenia rozwojowe miasta. Odbywały się też wycieczki po Warszawie, do Sierpca i twierdzy Modlin. Szczególnie pamiętny był wieczór słowno-muzyczny, poświęcony odzyskaniu niepodległości w roku 1918. Podczas kilku prób przygotowano ów wieczór według znakomitego scenariusza<sup>7</sup> Jana Baranowskiego - do dziś zachowało się kompletne nagranie tego

spektaklu. A przecież i wieczór autorski Jana można zaliczyć do ciekawszych wydarzeń w życiu sierpecko-warszawskiego koła. Z reguły uroczysty charakter posiadały także spotkania jubileuszowe koła oraz wieczory wielkanocne i choinkowe. Koncerty jubileuszowe z okazji XV i XX -lecia odbyły się nawet w pięknych wnętrzach Starej Pomarańczarni w Łazienkach Królewskich, gdzie nasz bohater występował autorsko obok zawodowych muzyków, śpiewaków i aktorów.

Niestety, koło *Przyjaciół Ziemi Sierpeckiej* miało również okresy przestoju i dramatycznych załamań z powodu chorób lub przemęczenia niektórych członków zarządu. Przeważnie jednak znajdowali się wówczas nowi działacze i po częściowej rekonstrukcji władz, koło znowu odzyskiwało animusz i podejmowało ambitne zamierzenia programowe. Apogeum intensywnej działalności koła przypadło na lata 70. i 80., kiedy liczyło nawet 85 członków<sup>8</sup> a koledze Witkowskiemu udało się wreszcie doprowadzić do wydania gromadzonych od lat materiałów w postaci *Notatnika Sierpeckiego*. Stało się to w roku 1981 z okazji XV-lecia koła. Ponad stustronicowa książeczka w zielonych okładkach jest dla Jana osobiście bardzo ważna. Zawiera bowiem wyłącznie jego rysunki przedstawiające Sierpc, dla wykonania których - na życzenie prezesa - wybrał się specjalnie do rodzinnego miasta. Również jego autorstwa są wszystkie zawarte w *Notatniku* wiersze oraz jedyna zamieszczona w nim okolicznościowa piosenka.

Zarówno piosenkę koła, jak i wiersz *Sekretnik*, napisał specjalnie z racji tego jubileuszu i osobiście zaprezentował podczas stosownej uroczystości. W wierszu chciał przede wszystkim złożyć hołd kolegom, działaczom koła, ponieważ miał pełną świadomość jakiego wysiłku potrzeba, aby przez lata ciągnąć ten wóz, programować atrakcyjne zebrania, wynajdywać i ściągać interesujących prelegentów, zbierać składki, wysyłać komunikaty, troszczyć się o frekwencję, albo po prostu przygotowywać kanapki i napoje na jakiś wieczorek. No więc, tak przedstawiał się ów wiersz:

*Pamiętacie sekretnik? Przeważnie w kratkę,  
obrzeźnie sklefony i perforowany,  
a nim nie rzadko  
donosy zazdrośników, a częściej wyznania zakochanych.*

*Mój - wyjątkowo - nie będzie zawierał  
ani zwierzeń zakochanych,  
ani pretensji outsidera,  
natomiast zdradzę w nim pewną tajemnicę stanu:*

*Ujawnię bez ogródek, mianowicie,  
że absolutnie mi się nie należy  
order – ani za tzw. długoletnie pożycie,  
ani za siwą brodę i długą przynależność do harcerzy!*

*Również za nic, nie dałbym orderu, chociaż zdobi,  
ani kolejom państwowym na stulecie  
(jeżeli już - to raczej pośmiertnie Stephensonowi!),  
ani szkole, ani fabryce - nawet najstarszej na świecie!*

*Zawsze bowiem ich egzystencja, to jakaś tam konieczność  
tak przeważnie naturalna  
jak życie, miłość, śmierć, wieczność  
wszechświata. Jak raz wylosowana karta - piękna lub fatalna.*

*Natomiast za to, że Koło serdecznych  
Przyjaciół Ziemi Sierpeckiej przetrwało  
aż piętnaście lat, wręczyłbym znamienite krzyże walecznych  
jego kolejnym chorążym - a i to za mało!*

*Widziałem przecież, jak poparzeni nie raz chwyтали  
i nieśli dalej drzewce sztandaru  
tej - jakże często opadającej - fali  
przepięknych iluzji, szlachetnych zamiarów...*

*A Wam, Drodzy Warszawscy Przyjaciele,  
wielki order z gwiazdą za coś, co pozostało w Was,  
za wierność, za to sierpeckie może i bardzo, bardzo niewiele,  
ale którego nie był jednak w stanie zniszczyć mijający  
czas!*

Pomimo nieco żartobliwej tonacji i zabarwienia panegirycznego, wiersz ten zawiera jednak pewne refleksje na temat róż i kolców towarzyszących działalności w kole oraz stanowi pochwałę utrzymywania związku uczuciowego obecnych warszawiaków ze swoją dawną *Małą Ojczyzną*. W ten sposób *Sekretnik* stał się nieoczekiwanie jedynie dość osamotnionym świadectwem zdarzeń, które bezpowrotnie minęły, choć w sercach warszawskich sierpczan wciąż na pewno tli się jakiś ognek miłości do rodzinnego miasta.

Podobnie zabytkowe znaczenie ma teraz piosenka zaczynająca się od słów: *Jak dobrze się spotkać w znajomym gronie*, którą napisał w roku 1981 i którą wówczas wspólnie zaśpiewano w piwnicy pod *Kamienicą Urbanowską*. Trzeba przyznać, że piosenka ułożona dla koła zawierała także pewne elementy osobisto-sentymentalne:

*Jak dobrze się spotkać w znajomym gronie,  
by wspólnie pogodniej i piękniej żyć.  
by dawnych przyjaciół uścisnąć dłonie,  
bo wiąże nas przecież niejedna nić!*

*Nam koło Przyjaciół Ziemi Sierpeckiej  
przynosi coś stamtąd, z beztroskich dni  
- w tym kole niezmiernie ważnym kółeczkiem  
i Jurek, i Wacek a także Ty!*

*Tu w rynku Starówki konie poimy,  
tu częsty ma postój dyliżans snów.  
Tu w twarzach dojrzałych młodość widzimy,  
a dawne dziewczyny kochają znów!...*

Dziś niestety - mniej więcej po ćwierćwieczu - nieoczekiwanie zabrakło głównych *koni pociągowych* i koło całkowicie przestało istnieć. Tym razem nie było już bowiem na świecie nieocenionego Jurka Witkowskiego, Janka Baranowskiego, Stasia Wajcherta, obydwu Sułkowskich, i kogoś, kto tak naprawdę potrafiłby i chciałby znowu pochwycić drzewce sztandaru i z zapalem pociągnąć dalej ten ciężki wóz. Gdy pod koniec pisania tej opowieści głęboko rozmyślałem nad przyczynami rodzenia się i zamierania związków środowiskowych tego pokroju, z sąsiedniego pokoju dobiegł donośny głos Maryli Rodowicz: *I tylko koni, tylko koni żal...* Czy ja wiem? Może akurat ten fragment piosenki o zmierzchu cygańskiego taboru, to również niezła puenta do finału sierpecko-warszawskiego koła PTTK? Przecież tu też zabrakło koni a i cennego dyliżansu snów próżno by dziś szukać na warszawskiej Starówce...

<>

Przygotowując się starannie do spotkania na Starym Mieście i chcąc z miejsca zjednać słuchaczy, Jan ułożył specjalnie sążnisty i - jak się z czasem okazało - ważny wiersz pn. *Szkic o Sierpcu*. Sierpczanie prawdopodobnie bezbłędnie wyczuwają, że w pierwszej strofie znajduje się odniesienie do królewskiego Płocka, do jego piętrzących się w niebo wież Tumskiego Wzgórza i do szeroko rozlanej Wisły. Trzeba bowiem wiedzieć, że zanim wyrósł gigant *Petrochemii* i Płock rozkwitł będąc siedzibą województwa, status tych dwóch powiatowych miast w okresie międzywojennym i zaraz po wojnie był nieco zbliżony. Wówczas tu i ówdzie rodziła się u sierpczan skłonność do nader ambitnej rywalizacji. Myślę, że były to jednakże odczucia jednostronne, bo Płock - jako niegdyś królewski i gubernialny gród pełen zabytków i skarbów kultury - raczej ambicje Sierpca traktował z życzliwym poblażaniem.

*O tym mieście muszę koniecznie też  
- i to bardzo gorąco - choć jego oblicza  
nie zdobi książęcy zamek, ani tuzin wież,  
ani nawet porządna rzeka - bo cóż tam taka Sierpienica!*

<>

*Muszę o nim gorąco, bo tam - jak gdyby  
nigdy nic - czas mi zatrzymało stawidło przy młynie  
i jakże często idę znów z Kazimierczakami na ryby,  
albo z Jankiem Sułkiem, w szczenięcej krainie  
beztroski, śpiewam: „Głowa do góry dziarska mina,  
harcerską w sercach nosim,  
hej! mazowiecka my drużyna  
z numerem dziewięćdziesiąt osiem ...”*

**Muszę koniecznie o tym mieście, bo słynna  
Czwarta Klasa daje mi powód,  
rodzinny dom, Magda - pierwsza niewinna  
miłość, pierwszy prawdziwy miłosny zawód...**

**A wiesz, że Zbyszek - mój brat -  
kiedyś komuś z Lipna dowodził najgoręcej,<sup>9</sup>  
że nasz Sierpc ważniejszy, że więcej ma lat  
i że w ogóle wszystkiego ma więcej.  
Zaczęli obaj skrupulatnie przeliczać: Tu i tam bożnica,  
dwa kina, cztery kościoły,  
ratusz, starostwo, park, strzelnica,  
targowisko, szpital, cztery szkoły  
- włączając oczywiście cheder - młyn, stadion sportowy,  
cmentarz, mleczarenka mała,  
jatkę, dworzec kolejowy...**

**O dziwo! Nawet ilość ulic się zgadzała!  
W końcu jednak mój brat wygrał tę małą  
batalię - i to łatwo szalenie -  
ponieważ, jak się okazało  
Sierpc był wówczas bezsprzecznie ważniejszy  
- posiadał więzienie!**

**Któż mógł jednak przypuszczać, Kochanie,  
że właśnie to więzienie wróg uświęci  
polską krwią i że istotnie zostanie  
ono tak ważne w pamięci.  
I że właśnie z piwnicy tej spalonej  
budowli wyniosę na zawsze potworny obraz: stos  
pomordowanych - surrealistyczne zwieńczony  
nagością pogromczyni, która podzieliła ich los.**

**A potem, gdy już zabito wieko wojny  
i wystrzelałem na wiwat wszystkie rakiety w parku,  
nastał czas dalekiej, znoonej  
wędrówki przez inne miasta, szkoły, przez lata na karku.  
I jakież to - Miła - dziwne, nieoczekiwane,  
że kiedy już zaszedłem w pobliże  
ostatniego pola - nagle bliskie, kochane  
stało się to miasto i cenię je wyżej.**

<>

**Tak więc sama widzisz, że muszę o nim też  
- i to bardzo gorąco - choć jego oblicza  
nie zdobi książęcy zamek, ani tuzin wież,  
ani nawet porządna rzeka, bo cóż tam taka Sierpienica!**

**Muszę o nim gorąco, bo tam - jak gdyby nigdy nic -  
czas mi zatrzymało stawidło przy młynie...**

## PRZYPISY

<sup>1</sup> Późniejszy architekt warszawski i autor m.in. budynku naprzeciw domu towarowego Smyk.

<sup>2</sup> Irena i Jan Nowakowie *Z dziejów AK w Inspektoracie Płocko-Sierpeckim*. Płock 1992, s. 96 i 110.

<sup>3</sup> Tamże, s. 88.

<sup>4</sup> *Bahnschütz* = strażnik kolejowy.

<sup>5</sup> Dziś piosenki Janka można znaleźć np.[w:] „*Już rozpalilo się ognisko*”, Warszawa 1983; „*Śpiewnik Harcerski*”, Warszawa 1988; „*Śpiewnik Zastępu*”, Warszawa 1985; J. Skiba „*Z dziejów piosenki harcerskiej*”, Warszawa 1993; „*Małachowianka*”, Płock 1995; „*Dzienniczek uczestnika Światowego Zlotu Harcerstwa Polskiego ZEGRZE' 95*”; J. Chojnacki „*Płynie z Mazowsza harcerska najprostsza*”, Płock-Warszawa 1997; „*Śpiewnik na całe życie*”, Wrocław 2000; „*Historia pisana piosenką 1910-2000*”, Warszawa 2000 oraz „*Na tropie*” 1947, nr 13; „*Czata*” 1987, nr 13; „*Czuwaj*” 1997, nr 11.

<sup>6</sup> *Notatnik Sierpecki*, Warszawa 1981, s. 10 – wiersz *Szkic o Sierpcu*

<sup>7</sup> Próby odbywały się na Saskiej Kępie w mieszkaniu Jana Baranowskiego, a brali w nich udział: gospodarz, Maria Wierzbicka (Olshewska), Barbara Mossakowska (Żmijewska), Janusz Kazimierzczak oraz autor tego opowiadania.

<sup>8</sup> W czasie szczególnych wydarzeń frekwencja bywała nawet znacznie większa, ponieważ zapraszano rodziny, oraz przedstawicieli innych regionalnych kół PTTK, np. bardzo aktywnego koła *Przyjaciół Ziemi Sądeckiej* (szczycącego się wówczas nawet neonem na rogu Świętokrzyskiej i Marszałkowskiej).

<sup>9</sup> Podobna sprzeczka, pomiędzy Zbigniewem Chojnackim a pochodzącym z Lipna Zygmuntem Iwanęjką, miała miejsce rzeczywiście, kiedy po wojnie obaj byli znakomitymi hokeistami w kadrze krajowej AZS.

## Sprostowanie

W numerze 3/212 „Notatek Płockich” zamieściliśmy artykuł Anny Borkowskiej stanowiący rozszerzoną wersję Jej odczytu w Towarzystwie Naukowym Płockim.

Opatrzyliśmy go odredakcyjnym wstępem, skracając jednocześnie zaproponowanym przez Autorkę tytuł. Prawidłowy powinien brzmieć: „Opowieść o własnym życiu. Metoda narracyjnej analizy autobiografii”.

Serdecznie Autorkę przepraszamy.

Redakcja